Opłata uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza 25 groszy.

ZIEMIA PODHALAŃSKA

MIESIĘCZNIK

Rok I. Listopad 1936 r. Nr. 5.



Bartek Obrochta

Andrzej Stopka „Nozimek"



Dyć my go znali wszyscy — Andrzeja Stopkę. Zmarł pod koniec lutego 1934 r. w Siedlcu pod Krakowem i w tamtejszej parafii w Rudawie został pochowany. W dniu 30 listopada b. r. trumna ze zwłokami ma być przewieziona do Zakopanego i w dniu tym złożona na starym cmentarzu.

Urodził się Andrzej Stopka w Kościelisku pod Tatrami i stamtąd poszedł „we świat" na nauki. Szkoły kończył w Krakowie, gdzie z góralskim uporem i zaciętością klepał biedę, znosił docinki na temat góralskiego pochodzenia, by nareszcie zostać profesorem, a później dyrektorem seminarium nauczycielskiego. Do Andrzeja Stopki odnoszą się słowa, wyjęte z przemówienia Władysława Orkana na Zjeździe Podhalan w r. 1912 w Nowym Targu: „Także nieraz zbaczuje mi się ta przezacna dusza, dosłownie z pod hal, bo z Kościeliska, dziś poważany profesor, jak często w czasie „bryndzy" akademickiej, głodowania, zacisnąwszy zęby, nucił nosowo jakąś wściekłą zbójnicką piosenkę, przycinając kunsztownie stopami. I przetrwał, i jest tu z nami."

Pragnąc w największym choćby skrócie pokazać Stopkę takim, jakim był, trzaby sięgnąć pamięcią do dawnych czasów: kiedy to jeszcze „dobrzy chłopcy" z Polan powiadali do siebie: „Poza bucki, poza las, podźmy chłopcy zbijać, kraść;" kiedy wspaniały Sabała nie był jeszcze legendą, lecz człowiekiem żywym, z którym „Nozimków" Jędrek Stopka niejedną piękną chwilę przeżył; kiedy góralski „studant" jeździł z Krakowa do domu nie koleją, lecz przysiadał się okazyjnie na chłopski wóz, naładowany kruchami soli z Wieliczki; kiedy o całym Podhalu wraz z Zakopanem możnaby było powiedzieć: „Tam przy nieznanym drzewie ukryty drogi skarb, o którym nikto nie wie".

Pierwszy, który odważył się cząstką tego skarbu zadziwić całą Polskę, był Andrzej Stopka. On to bowiem jest prawowitym ojcem literatury góralskiej. On pierwszy zaczął pisać gwarą góralską. Jego mistrzowskie arcydziełka „Sabała" i „Śpiący rycerze w Tatrach" wprowadziły gwarę podhalańską do literatury polskiej. Wprowadziły, i mimo wszelkie uprzedzenia czy niedowierzania, zdobyły dla niej prawo obywatelstwa. On, Jędrek Stopka „Nozimek" z Polan, porwał za pióro i niby ciupagą wyrąbywał nim chodnik w krainę nieznanych cudów, „gdzie z białych gór potoki srebrem płyną, doliny

śpią"... Rąbał z góralską fantazją i wytrzymałością, torując drogę całemu zastępowi „dobrych chłopców", którzy tym chodnikiem mieli później przechodzić i przechodzili na zuchwałe przewagi z Tetmajerowym Janosikiem na czele.

To jedno. Najważniejsze. Ale dla nas, zorganizowanych Podhalan, imię Andrzeja Stopki jest jeszcze i z innych względów czcigodne. Oto był on współtwórcą ruchu podhalańskiego, w którym do ostatnich niemal dni swego urodzajnego żywota najżywszy brał udział. Pamiętają doskonale tę charakterystyczną postać ci wszyscy, co na Zjazdach Podhalan bywają. Nie wygłaszał mów, nie sięgał po zaszczyty, nie dbał o honory, ale w tej naskiej gromadzie czuł się dobrze. Gdy nieraz w czasie obrad wyłaniały się trudności lub wytwarzały kwasy, wówczas Andrzej Stopka wstawał i kilkoma znakomitymi zdaniami góralskimi potrafił genialnie trudności wszelkie usunąć. Jego dialogi Zjazdowe z Orkanem, w których nieraz przygadywali sobie od syntetyków i analityków, kończyły się przecież zawsze góralską serdeczną unią. Kiedy prezes Związku zgłosił raz rezygnację z prezesury, argumentując to zmęczeniem i kiedy liczni mówcy na próżno usiłowali skłonić prezesa do cofnięcia tego, wówczas Andrzej Stopka zabrał głos i powiada:

— Jo starsy od Ciebie, a cuję się młodo, a Ty narzekos, ześ stary? Nie bedzie tak. Zodnyk rezygnacyj nie przyjmujemy. Musis być prezesem i koniec.

Andrzej Stopka przyjeżdżał na Zjazdy, bo odczuwał tego potrzebę. Cieszył się z rozwoju Związku Podhalan, apelował do młodych, by dotychczasowy dorobek podhalański pomnażali, a kiedy po obradach muzyka zagrała, to Stopka chował do kieszeni przynajmniej 30 roków i szedł krzesać, przyśpiewując z werwą:

„Ejze ino, ejze ś-niom,
z tom dziewcynom poceśnom"...

Ostatni raz na Zjeździe naszym był w r. 1933 w Białym-Dunajcu, ale już nie zatańczył. Słabował już i skarżył się, że coś tam „na wnuku" dokucza. Mimo to z humorem jeszcze z nami gwarzył i długo przysłuchiwał się białodunajeckiej nucie. To był ostatni Zjazd Podhalan z udziałem Andrzeja Stopki.

Nie robiliśmy Stopce jubileuszów, choć dość miał ku temu tytułów, aleśmy zawsze czuli i wiedzieli, że to wielki Podhalaniec, że to złote serce góralskie, które do ostatka pełniło najofiarniej służbę swojej Ziemi. I teraz oto wraca do tej Ziemi, jej wielki syn, by spocząć obok tych, co to, jak On, zadziwiali świat „drogim skarbem" Podhala i przez to żyją w pięknej legendzie góralskich ludzi: obok Sabałów, Witkiewiczów, Chałubińskich, Orkanów.

Ku nim se legnie na świętej pościeli, bo tak sie Mu patrzy, i tam se bedzie odpocywoł po nie byle jakiej robocie. Tam se legnie, a my syćka zejdziemy sie ku pościeli, coby wiedzioł, ze my som jest. Ale płakać wtedy nie bedziemy. Zapłacą ino jaworowe gęśle, jeze juz nie stanie przed nimi i nie zanuci staroświeckiej, poloniarskiej nuty On, gazda hruby i honorny, Jędrek Stopka „Nozimek" z Kościeliska.

W gęślach całe Podhale zapłacze.

Antoni Zachemski.

Narodziny Gazety Podhalańskiej

(Z listów Władysława Orkana)

Wśród listów Władysława Orkana, które po uporządkowaniu trzeba będzie oddać chyba naszemu Muzeum Tatrzańskiemu w Zakopanem, znalazłem jeden, będący bardzo interesującym przyczynkiem do historii podhalańskiej prasy regionalnej.

W początkach listopada 1912 r. odbyła się w Nowym Targu narada, w której wzięli udział ś. p. dr. Jan Bednarski, ś. p. ks. prof. Bułat, ś. p. prof. Tomasz Buła, prof. Dziedzic, obecny dyrektor gimnazjum nowotarskiego Ludwik Czech, a zdaje mi się, że i ówczesny sekretarz Wydziału powiatowego w Limanowej ś. p. Józef Beck, późniejszy wiceminister spraw wewnętrznych, ojciec obecnego ministra spraw zagranicznych oraz — jeśli się nie mylę — ówczesny burmistrz nowotarski Józef Rajski. Przedmiotem narady była sprawa wydawania w Nowym Targu tygodnika dla wzmożenia przede wszystkim akcji narodowej na Spiszu i Orawie. W sprawie tej prowadziłem korespondencję i z ś. p. drem Bednarskim, który nakłonił mnie do objęcia redakcji tego pisma.

Gdy w połowie listopada 1912 r. przyjechałem do Nowego Targu, na ponownej naradzie w zespole mniej więcej tych samych osób, które wyżej wymieniłem, zapadła ostateczna decyzja ,że tygodnik winien się ukazać już w grudniu i to pod tytułem „Nowiny Podtatrzańskie". Nie podobał mi się ten tytuł. Wysuwałem szereg innych, lecz dr. Bednarski a za nim większość opowiedziała się za „Nowinami" i to „podtatrzańskimi". Dr. Bednarski cieszył się między nami wielkim autorytetem, zwłaszcza zaś w sprawach akcji na Spiszu i Orawie, gdzie właściwie on jeden posiadał wówczas i dość rozległe stosunki i znajomość skomplikowanych warunków pracy odrodzeńczej. On też najbardziej upierał się przy tytule „Nowiny". Twierdził, że taki właśnie tytuł będzie odrazu zrozumiały dla ludności spiskiej i orawskiej, *podtatrzańskiej*, nawykłej do czytania gazet słowackich (po słowacku — „novin").

Jako sekretarz generalny Komitetu Wykonawczego Zjazdów Podhalańskich przedstawiłem całą sprawę prezesowi Komitetu, Władysławowi Orkanowi, który przebywał wówczas w Porębie Wielkiej.

W odpowiedzi otrzymałem od Orkana list z daty 20 listopada 1912 r. List ten dałem do przeczytania drowi Bednarskiemu, nadmieniając, że z treścią jego godzą się napewno i inż. Galica, Jakub Zachemski i A. Stopka i J. Kantor i Jedlicz tj. cały ówczesny „sztab" podhalański.

Dodać trzeba, że były już nawet gotowe rozmaite druki (koperty, papier listowy i t. d.) z tytułem „Nowiny Podtatrzańskie". Ś. p. dr. Jan Bednarski przeczytał list Orkana w głębokim skupieniu, po czym — swoim zwyczajem — zaciągnął się mocno

dymem z papierosa, wzruszył ramionami i rzekł:

— Zgoda. O tytuł nie pójdziemy z Orkanem do wójta.

List Orkana, w którym opuszczam dwa ustępy: 1) dotyczący pewnego wydawnictwa i 2) podający mi adresy trzech literatów, brzmiał dosłownie:

Kochany Felku!

. . . .

Co do „Nowin Podtatrzańskich“ — to nie mogę się pogodzić z tytułem. Sądzę, że potrafisz jeszcze skłonić Bednarskiego do przemiany. Nadrukowany papier jest małą stratą wobec straty większej, gdyby tytuł pozostał. Wierz mi. Tytuł ten odpycha. To nie ino moje zdanie. — Powinno być: „Gazeta Podhalańska“ lub „Tygodnik Podhalański“ — lub może lepiej jeszcze „Wieści z Podhala“. — Namyśl się dobrze i przeprzej. Wiele przez to zyskasz. Ja pisałem do Bednarskiego w tej materyi, ale on jest uparty (zresztą wydrukowano już nagłówki listowe, co mało znaczy). Ty jednak jako redaktor, możesz wstawić to żądanie i wytłomaczyć.

Nie uwierzysz, że — poza innymi — tytuł ten odpychający mię jest przyczyną, iż dotąd nad artykułem wstępnym nie pomyślałem. I doprawdy nie wiem, czy zdolę napisać. — Tytuł jest ważniejszy, niż się zdaje. — „Podtatrzańskie“ to jest pojęcie czysto geologiczne, a „Nowiny“ nie budzą zaufania.

. . . .

Wracam jeszcze do tytułu: my pojęcie Podhala rozszerzamy (to jest w celu naszych Zjazdów) na całe Podtatrze (Spiż, Orawę), na część Limanowskiego, Sądeckiego, Jordanowskiego i Żywieckiego — powiatów. Więc to powinno być w tytule pisma, jeśli ma być naszym organem. Przecież ci wszyscy tego nie rozumieją. I moc innych powodów. — Zresztą już więcej w tej materyi uchem nie ruszę. Ale wyciągnę konsekwencje (dla siebie).

Całuję Cię serdecznie

Fr.

W grudniu 1912 r. ukazał się pierwszy numer „Gazety Podhalańskiej“ z pamiętnym artykułem wstępnym wielkiego poety, który zadecydował ostatecznie i o tytule gazety.

Feliks Gwiżdż.

ZWRACAMY SIĘ Z APELEM DO OGNISK ZWIĄZKU PODHALAN ORAZ DO WSZYSTKICH ORGANIZACYJ KULTURALNO - OŚWIATOWYCH, BY ZAJĘŁY SIĘ ROZPOWSZECHNIANIEM „ZIEMI PODHALAŃSKIEJ” I JEDNANIEM NOWYCH PRENUMERATORÓW.

Matka



W pierwszych dniach października zmarła w Zakopanem w 91-ym roku życia ś. p. Katarzyna Smreczyńska, matka wielkiego syna ludu góralskiego, znakomitego pisarza i poety, Władysława Orkana. (Orkan zmarł w Krakowie w r. 1930, a w rok później zwłoki jego przewieziono do Zakopanego i pochowano na starym cmentarzu).

Katarzyna Smreczyńska to najpiękniejsza postać, jaką nie tylko góralszczyzna, ale cała polska wieś wydała. Tę skromną kobiecinę wiejską, prostą góralkę, znali przecie ludzie wielcy, i ze czcią chylili przed Nią czoło. Czynili to nie dlatego, iżby Ją upiększał blask synowskiej sławy, ale właśnie dlatego, iż przez Jej zasługi stał się Orkan znakomitym pomnożycielem kultury polskiej.

Nie było to łatwo z gazdówki na płonym gruncie utrzymać dom i kształcić dwóch synów w Krakowie. Trza było bezprzykładnego poświęcenia się, twardego wysiłku i samozaparcia, by z tobołkami na plecach odbywać piesze wędrówki z Poręby Wielkiej do Krakowa. Trza było mieć miłością do dzieci gorejące serce i głęboką wiarę, by mimo wszelkie przeciwności, a często uszczypliwe docinki, iść uparcie do celu. Trza było duchem wyrastać ponad współczesne sobie środowisko, by nie załamać się i wytrwać w zaprzysiężonej Bogu postanowie.

Wszystko to miała w sobie Katarzyna Smreczyńska, której żywot pracowity stał się nawet tematem dla Sewera do napisania powieści p. t. „Matka". Wiedział Orkan, czym była dla niego Matka; to też za serce Jej sercem się odpłacał. Zawsze i wszędzie wyrażał się o Niej z najgłębszą czcią i ukochaniem. Pamiętam jubileusz Orkana w r. 1927 w Krakowie. W auli uniwersytetu ludzi pełno. W pierwszym rzędzie szereg dostojników —przedstawicieli władz. Po wyczerpanu programu wstaje wyraźnie wzruszony Orkan i krótko przemawia, zaczynając:

— Jeśli w życiu coś zdziałałem, to zawdzięczam to najpierw Bogu, a następnie Matce.

W tej chwili liczni dostojnicy wstają z miejsc, podchodzą w stronę staruszki-Matki, i całują Ją w rękę. Albo w tym samym roku latem na Podhalu. W tysięcznych zastępach z muzykami zjechaliśmy do naszego miasta, by hołd serdeczny Orkanowi złożyć.Po południu w parku miejskim

gwarzymy z Orkanem przy dźwiękach podhalańskich gęśli. Jest i kilku Porębian, wśród nich jeden śmigły chłopak, Smreczak.

— Widzicie, chłopcy, jacy to ci Podhalanie — powiada Orkan, zwracając się do nich — tu wej jest duch...

Po chwili w zamyśleniu dodał:

— Jaka szkoda, że moja Matusia nie może tego wszystkiego dziś widzieć.

W r. 1934 odsłanialiśmy pomnik Orkana w Nowym Targu. W przeddzień tego udaliśmy się z wieńcem na grób Orkana w Zakopanem. Była na cmentarzu i Matka, która ostatnie lata swego życia spędziła u wnuczki w Zakopanem. (Córka zamężna K. Smreczyńskiej zmarła w r. 1930). Poznała mnie odrazu, kiedym się z Nią witał:

— Cieszę się, że pana widzę. Taki mi pan bliski, bo Franuś często wspominał.. Nie myślałam nigdy, że go przeżyję...

W drugim dniu, przed odsłoniętym pomnikiem Orkana, szereg wybitnych osób ze czcią całowało rękę Matki-góralki, która ze wzruszeniem wpatrywała się w kamienny posąg syna.

Jej wielkie serce niedawno przestało bić na zawsze. Może zmęczyła je tęsknota za ukochanym Franusiem? Dziś są już razem: Matka z ukochanym synem. Tuli się do nich pogodna postać anielsko-dziewczęca: to Orkanowa córka, Zosia. Dobrze im razem, choć nas smutek ogarnia, że oto ze śmiercią Matki pominęło to, co było najcudniejszą legendą Poręby Wielkiej, co było drogim całej góralszczyźnie.

Pogrzeb odbył się w Zakopanem przy udziale dość sporej gromady ludzi. W gromadzie tej podobno jednak nie było ani przedstawiciela gminy Zakopane, gdzie Orkan spoczywa, ani Nowego Targu, gdzie znajduje się pomnik Orkana. A czy nie mógł ktoś sprawić, by w pogrzebie wzięła udział choćby garstka młodzieży wiejskiej? Przecież to był pogrzeb Matki tego Orkana, którego imię jest dla nas imieniem świętym, czasami nawet nadużywanym. Możliwe, że było to tylko przeoczenie, bo trudno inaczej myśleć. Ale i to jest bardzo smutne...

A. Zach.

Bartłomiej Obrochta

Minęło dziesięć lat, jak zmarł największy muzykant na całym Podhalu Bartłomiej Obrochta. W rocznicę tę pragnę zapoznać Czytelników „Ziemi Podhalańskiej“ z fragmentami jego bujnego, przesiąkniętego artyzmem życia.

Urodzony w r. 1850 w Zakopanem, w młodzieńczych latach praktykował u słynnych ówcześnie muzykantów Jędrzeja Kowala z Kotelnicy, Szymka Krzysia oraz Jana Krzeptowskiego Sabały z Kościeliska. Jako kilkunastoletni chłopiec przez kilka okresów letnich juhasował na hali w Białym, nie rozstając się jednak ze swymi skrzyp-

kami. W okresach zimowych grywał już na weselach i zabawach, stając się coraz to więcej wziętym muzykantem. Pewnego dnia na halę przybył z gór ostatni sławny zbójnik tatrzański Wojtek Mateja z Kościelisk, któremu odrazu przypadła do duszy gra Bartusia. Za zezwoleniem ówczesnego bacy Kamińskiego zabierał często Mateja z sobą Bartusia w góry i tam wśród turni kazował mu grać ulubione staroświeckie, zbójnickie „nuty". W następnym roku musiał Bartuś już z całą kapelą wędrować ze słynnym zbójnikiem oraz jego towarzyszami, między innymi Józkiem Nowobilskim z Białki, po wierskach zstępując czasem do dolin na zabawy w karczmach.

Zabawy te trwały nieraz przez kilka dni bez przerwy; młody Bartuś rad nie rad (bo to ze zbójnikami była sprawa!) musiał grać niemal bez przestanku. Opowiadał mi, jak podczas grania w jednej z karczm na Luptowie zdrzemnął się, wtedy jeden ze zbójników dał mu do wypicia kwaterkę gorzałki, — co poskutkowało — „ale na kwile, bo pote cała izba zacena się obracać" w oczach Bartusia, no i gorzej się grało. Przyszedł mu z pomocą Mateja, dając do wypicia kwaterkę gorącego sadła — „po tym sadle dopiero fajnie się grało do rania".

Wędrówki Bartusia z ostatnimi zbójnikami skończyły się po trzech latach, kiedy żandarmi chycili Mateję, który nieopatrznie zasiedział się zbyt długo w swej rodzinnej wsi Kościelisku.

Przebywanie w górach ze zbójnikami niewątpliwie wpłynęło na ukształtowanie się gry Obrochty, tchnącej żywiołowością, tężyzną, zespolonej z pełnym czaru światem tatrzańskim — granitowymi turniami, szumiącymi potokami, lazurowymi jeziorami.

Drugim ważnym okresem życia Bartusia było przebywanie jego z prof. Tytusem Chałubińskim, z którym chadzał jako muzykant i przewodnik przez 18 sezonów letnich. Podczas wypraw górskich Chałubińskiego nieraz przez kilka dni siadywali zaskoczeni deszczem w szałasach, kolibach i tam „zdajali" i „urabiali" niektóre „nuty".

Lubując się w muzyce podhalańskiej, Chałubiński zainteresował nią swoich przyjaciół i znajomych. Grywał więc Bartuś Józefowi Ignacemu Paderewskiemu, Henrykowi Sienkiewiczowi, StanisławowiWitkiewiczowi, Bolesławowi Prusowi i innym znanym osobistościom.

Po śmierci prof. Chałubińskiego Bartuś był przez powien czas strażnikiem Towarzystwa Tatrzańskiego, później zaś przewodnikiem.

W roku 1890-ym bronił przed Węgrami Morskiego Oka, które chcieli zagarnąć zbrojnie (za co przez 12 lat zakazano mu przechodzić na węgierską stronę Tatr). W r. 1897-ym wyjechał po raz pierwszy do Warszawy, gdzie udzielał objaśnień i przygrywał ze swoją kapelą na panoramie Tatr.

Bartusia Obrochtę poznałem będąc małym chłopcem w r. 1905 i od tej pory aż do jego śmierci trwała między nami szczera zażyła przyjaźń. Pierwsza moja wycieczka w góry z jego kapelą wywarła na mnie niezatarte wrażenie i wędrowaliśmy wtedy przez kilka dni po górach, a na każdym dłuższym odpoczynku, czy to na szczytach, czy to w schroniskach grał nam Bartuś ukochane przez siebie

melodie. Odczuwałem już wtedy, że te „nuty“ góralskie stanowią nieodłączną część przeżyć tatrzańskich. To też przez szereg lat wszystkie wycieczki w góry odbywaliśmy z „muzyką“, w której stopniowo zacząłem brać coraz większy udział, praktykując jako sekundzista, a następnie prymista. Bartuś nie szczędził mi swojej gry, ani uwag i objaśnień, a jak już opanowałem nieźle muzykę góralską, z pewną dumą opowiadał o swoim uczniu.

Wojna światowa rozdzieliła nas na dłużej, spotkaliśmy się dopiero w r. 1919-ym w Roztoce, gdzie Bartuś dzierżawił schronisko. W owym to czasie przystąpiłem do zrealizowania moich marzeń utrwalenia w piśmie nutowym muzyki podhalańskiej. W pracy swojej miałem możność potwierdzenia mojej dawnej opinii o jego dużym rodzimym talencie, inteligencji i muzykalności. Zapoznałem się wtedy dokładnie z najdrobniejszymi szczegółami jego misternej natchnionej, zmieniającej się zależnie od nastroju gry, jak również byłem świadkiem „urabiania“ przez niego kilku pieśni śpiewanych „na skrzypce“ a następnie na całą kapelę.

Zainteresowanie muzyką nie ograniczało się u niego jedynie do muzyki podhalańskiej, z wielką uwagą przysłuchiwał się muzyce artystycznej, wypowiadając trafne uwagi o wartości, charakterze, danego utworu oraz interpretacji wykonawców.

Zrozumiałe jest, że najwięcej lubiał i rozumiał utwory skrzypcowe. Któregoś roku byliśmy razem na koncercie Stanisława Barcewicza. Obserwowałem wtedy jak zależnie od charakteru granego utworu zmieniał się jego nastrój, w jakim skupieniu i zachwycie wsłuchiwał się w potężne, głębokie, a zarazem jedwabiste tony mistrza.

Po koncercie nastąpiła przemiła scena spotkania Barcewicza, (który był moim profesorem) z Obrochtą: trzymając długo rękę mistrza Bartuś wyraził mu ze wzruszeniem, iż jest naprawdę szczęśliwy, że usłyszał grę tak wielkiego skrzypka i poznał osobiście „drugiego kapelmistrza Stasia.“

Niektóre z granych na koncercie utworów specjalnie przypadły mu do gustu, to też wielokrotnie na jego prośby musiałem je przegrywać.

Z bogatej muzykanckiej kariery Bartusia wymienimy jeszcze kilka faktów: był na plebiscycie na Górnym Śląsku ze swoją kapelą i przywiózł z tamtąd kilka śląskich melodii ludowych, które czasem grywał, ale bez przekonania i z uśmieszkiem protekcjonalnym i w r. 1924-ym był na wystawie w Paryżu, grywając przez szereg dni w Polskim „Babilionie“, jak się wyrażał; był kilkakrotnie w Warszawie, lecz w murach miejskich nie długo mógł wytrzymać, zdala od swoich ukochanych gór — do których tęsknił.

Na parę lat przed śmiercią zwierzał się, że nie będzie umierał pod pierzyną, ale w turniach, a jak tam nie dojdzie to „kany pod smrekiem“. Śmierć usłuchała jego życzenia i zabrała go wędrującego samotnie po pod Regle — (wiosną 1926 r.).

Grając przez całe życie Tatrom, czarował jednocześnie Bartuś Obrochta nieprzebranym bogactwem swych „nucicek“ swoich braci, tysiące przybyszów z innych dzielnic kraju i z zagranicy. Dlatego pamięć o nim nigdy nie zaginie. *Stanisław Mierczyński.*

Samo Chalupka

Słowak-uczestnik powstania listopadowego



Przypadająca w tym miesiącu 136-a rocznica powstania listopadowego nasuwa nam okazję do przypomnienia niewątpliwie pięknego w dziejach braterstwa ludów wypadku, obcego udziału w polskim wysiłku powstańczym. W tych latach wiele ludów walczyło jeszcze o swoją wolność, o wyzwolenie czy to społeczne czy polityczne. Ludy te pomagały sobie w tych walkach nawzajem i tak jak Polacy walczyli na dalekich lądach czy morzach „*za naszą wolność i waszą*", o wyzwolenie obcych ludów z pod ciemięstwa, tak samo i obcy nieśli nam swoją pomoc w naszych bojach o wyzwolenie. I w powstaniu listopadowym nie brakło i cudzoziemców walczących z nami ramię w ramię, a wśród nich byli i nasi najbliżsi południowi sąsiedzi: Słowacy.

W tych czasach na Słowacji zaczął dopiero się przejawiać prąd dążący do wyrwania narodu z dotychczasowego narodowego i społecznego uśpienia. Młodzież studiująca na liceum w Bratysławie żywo interesowała się wszelkimi sprawami narodowymi, śledziła ruchy literackie i umysłowe u innych narodów słowiańskich, a przede wszystkim serdecznie odnosiła się do spraw polskich. Gdy wybuchło powstanie listopadowe natężenie sympatii do Polski jeszcze wzrosło. Ale niektórym Słowakom samo wyrażanie tej sympatii nie mogło wystarczyć — pragnęli oni czynnie zadokumentować swój entuzjazm dla sprawy wyzwolenia ludów i pobiegli zaciągnąć się w szeregi oddziałów powstańczych. Między nimi był i młody jeszcze wówczas poeta słowacki, Samo Chalupka.

Samo Chalupka, urodzony w roku 1812 był synem znanego działacza ludowego słowackiego Adama Chalupki. W liceum bratysławskim obracał się w kołach tej młodzieży słowackiej, której nie starczyła sama nauka licealna i która w wolnych chwilach gorliwie poświęcała się omawianiu najważniejszych zagadnień narodowych, społecznych, kulturalnych.

Pragnąc wziąć udział w wyzwoleńczej walce Polski, Samo Chalupka przedostał się do Polski, zaciągnął się do jednego z oddziałów powstań-

czych. Ale było to już pod koniec powstania; Samo Chalupka wziął udział tylko w kilku potyczkach, i w jednej z nich został ranny. Wkrótce po tym powstanie upadło, a Chalupka wrócił do swego kraju.

Obok niego i inni Słowacy brali udział w tym powstaniu, ale wiemy o nich dużo mniej, między innymi J. Lehocky i J. P. Bella.

Samo Chalupka stał się po tym jednym z najpopularniejszych poetów słowackich. Reprezentował on pierwiastek ludowy w epice i w liryce w wielu swych utworach dał wyraz swej stałej sympatii dla Polski. Zmarł w swej rodzinnej wsi Horna Lehota w r. 1883.

J. R.

Słownik góralsko-podhalański

Od czterech lat pracuję nad „Słownikiem Góralsko-Podhalańskim", któryby objął słownictwo nie tylko Zakopanego i Podtatrza (jak w dotychczasowych pracach), ale (ile możności) całego właściwego Podhala (jak wyżej określono — a od wschodu po rzekę Białkę).

Niewątpliwie przeważna część wyrazów góralskich obejmuje całe wspomniane Podhale (oczywiście z pewnymi odchyleniami fonetycznymi). Są jednakże na tym obszarze okolice, grupy wsi lub pojedyńcze wioski, które mają między innymi swoje własne, odrębne wyrazy, gdzieindziej nieużywane — otóż o te wyrazy mi chodzi, aby je wyłowić i wydobyć na szersze światło dzienne i przez to zachować od przepadnięcia i niepamięci, które niechybnie im zagrażają.

Jak bowiem odrębny strój (zwłaszcza ten niewieści), jak swojskie budownictwo i zdobnictwo, jak stare zwyczaje i obyczaje i t. d. pod wpływem mody i niemody zwolna, lecz ustawicznie się na Podhalu (i gdzieindziej też) zacierają, zatracają albo manierują — tak nierównie szybciej i warcej postępuje zanik tak poszczególnych wyrazów jako też i ogólne skażenie pięknej, bo staropolskiej, mowy podhalańskiej. Pod niwelującym wpływem szkoły (a po części i letników) rzadko już kto z młodego pokolenia mówi czysto po góralsku, natomiast wytwarza się jakiś żargon napół góralski a na pół książkowy (ni to ni sio). Jeżeli więc wspólne i powszechnie na Podhalu używane wyrazy ulegają powolnej zagładzie, to cóż dopiero mówić o wyrazach rzadszych, w pewnych tylko jeszcze wsiach znajdujących się w użyciu i to często już tylko u starszych ludzi.

Dlatego zwracam się z prośbą do wszystkich Podhalan, którym troska o nasz regionalizm podhalański nie jest obojętna, aby byli tacy dobrzy i łaskawi takie właśnie wyrazy (t. j. rzeczowniki, czasowniki, przymiotniki i t. d.) oraz wyrażenia i zwroty mowy, a także mniej znane przysłowia, przymowy, porzekadła, jak również zagadki, używane w pewnej tylko okolicy lub wsi zanotować i przysłać na moje ręce. O ile byłby to wyraz trudniejszy do określenia jego znaczenia, to należy go przytoczyć w jakimś zdaniu w brzmieniu całkowicie góralskim bez żadnego upiększenia (tak jak tam „godajom"). Proszę jednak nie zwlekać w tej sprawie i nie odkładać „na potem", bo po pierwsze można o tym zapomnieć, a po wtóre ja już cały prawie materiał słownikowy mam ułożony, i wnet zacznie się przepisywać na czysto i mogłoby być „nieskoro". Tuszę, że chętnych znajdę jeszcze wielu wśród Podhalan, zwłaszcza że trud to niewielki, a koszt listu czy pocztówki też nie duży. Re-

flektuję nawet na kilka wyrazów, i to pod hasłem: Każda wieś i miejscowość dobra — ale im z dalszych okolic od Tatr i Zakopanego a bliżej stoków i grzbietów Beskidu i Gorców — tym wyrazy pożądańsze. Przy wyrazach należy podać wieś lub kilka wsi albo okolicę (np. koło Białki, koło Dzianisza, Pieniążkowic, Sieniawy, Harklowej i t. p.), w której są używane albo były nawet dawniej czy drzewiej.

Ja później każdemu korespondentowi na łamach tego tu pisma odpowiem (a Redakcja zapewne nam kącika nie odmówi) — czy wyrazy są odpowiednie i ewentualnie podam jeszcze pewne wskazówki, gdyby się okazały jakie braki w tym względzie.

Z góralskim i gazdoskim pozdrowieniem.

Józef Waksmundzki,
Kraków, ul. Asnyka 9.

Janosik

Bezczelność swoją posunął tak daleko, że będąc zbójnikiem, zaciągnął się się do hajduków komitatowych, werbowanych dla walki właśnie ze zbójnictwem; służąc w ten sposób dwom panom, t. j. władzom bezpieczeństwa i zbójnikom, którym zapewne nadal świadczył poważne przysługi, potrafił i z tej osobliwej sytuacji ciągnąć dla siebie zyski.

Z niewiadomych przyczyn w jakiś czas po przystaniu Janosika do bandy zbójeckiej Uhorczik przestał wprawdzie chodzić na sioła i na stolice, lecz bacując na Klenoczy pod przybranem nazwiskiem Marcina Mrowca czy też Mrawca, kontaktu ze swymi towarzyszami bynajmniej nie zrywa. Przeciwnie, Janosika i jego bandę ustawicznie u siebie gości i ukrywa, żywiąc i pojąc zbójnicką kompanję, a mając z nimi porozumienie i ściśle z bandą współdziałając, uczestniczy też w łupie zbójnickim. Uhorczik prowadzi widocznie na Klenoczy rodzaj gospody, gdzie Janosik i jego towarzysze trwonią wśród ochoczej zabawy z żoną gospodarza i z dziewczętami uzyskaną w napadach zdobycz.

Nic więc dziwnego, że przy ostatecznem ujęciu Uhorczika znaleziono u niego wiele przedmiotów pochodzących z grabieży.

Z chwilą, gdy Uhorczik, ożeniwszy się w pazdzierniku 1711 r., osiadł na stałe w Klenoczy, komendę nad bandą objął przypuszczalnie Janosik.

Najprawdopodobniej, o czem wnioskować można na podstawie całokształtu sprawy, Uhorczik, oceniając odwagę i doświadczenie żołnierskie Janosika, darząc go zaufaniem, zdał mu dowództwo bojowe nad towarzyszami. Sam zaś, nie narażając się bezpośrednio, zakonspirowany na Klenoczy, wspomagał lub zgoła kierował poczynaniami Janosika.

Imiona i przezwiska innych zbójników z tej samej bandy da się ustalić na podstawie dwukrotnych zeznań Janosika w tej materji oraz zenań oskarżonego Uhorczika. Byli to, oprócz wspomnianego powyżej Krutnicy zwanego Żupicą czy też Turjakiem z Morawskiej Ostrawy, Satora z Polski, pochodzący ze Soli w Żywieckiem koło Rajczy, Paweł Gasparecz, zwany Młynarczykiem, z Radowska, Bartek, owcarz, bliżej nieokreślony, Ondrasz, wysoki, rudy parobczak z Długiegopola na Kisuczach, czy też spod Borowego, jak go określa w swem zeznaniu Uhorczik, dalej: Paweł Bernatik, Vraber ze Staszkowa, Kowalowsky z Rakowej; Bagar; Gaborczik czy też Gabor z Walkowej; Kuba Chlastjak z Otożnic, Garel czy też Gawlon, zapewne Gaweł z Polski ze Soli, Kowaczik Morawczyk z Moraw, być może identyczny ze zbójnikiem nazwanym Kowalczik z Czeladnej, Wawrek z

Polski, Adam Szuszalka z Turzówki, Waliczek z Międzyrzecza, Holubek z Mentelowicz na Morawach; Janosik z Długiegopola (różny od bohatera procesu Jerzego Janosika z Tarchowej), Plauczik z Dunajowa oraz Huncaga zwany Hunczik lub Juro Turjak, niewiadomo czy identyczny z Krutnicą-Turjakiem. Ponadto Uhorczik podaje, że do bandy należało jeszcze ośmiu Morawczyków, których bliżej określić nie umie.

Już z zestawienia przezwisk i miejscowości, skąd zbójnicy pochodzili, wynika, że byli to przeważnie chłopi zbiegli z Orawy, Moraw, Śląska Cieszyńskiego i z podgórskich starostw Polski.

O przeszłości tych zgórą trzydziestu obieżyświatów niewiele można powiedzieć, a tylko rolę ich w poszczególnych przestępstwach da się niekiedy zindywidualizować na tle całej działalności bandy.

Jedynie o Janosiku z Długiegopola notuje krótko protokół, że przez rok djabłom służył, o Krutnicy zaś, że poprzednio był hajdukiem komitatowym.

W zimie r. 1711—12 Janosik ukrywał się przez trzy tygodnie u Kowaliczka Ondrejika na Kokawie, do którego zjednał się na służbę za parobka. Stamtąd odszedł do Szutków do Krasnej, poczem ukrywał się u Macieja Gadasza, zwanego Rusniakiem na Radoczce. Koło Tarchowej, a więc opodal swej wsi rodzinnej, Janosik miał kryjówkę w młynie, gdzie przechowywał zrabowane przedmioty. Towarzysz Janosika Huncaga-Turjak ukrywał się u swego stryja w Bakowej.

Chętnym okiem patrzyli też na Janosika i jego bandę Wołosi wypasający trzody po halach, mimo, iż zbójnicy wybierali im sėr i rzezali owce. Szałaśnicy Sikora i syn jego Adam donosili nawet zbójnikom w góry ser i żentycę, a dwaj owczarze z likawskich bacówek pragnęli się zaciągnąć do bandy Janosika.

Janosik z bandą bywał i miał oparcie w wielu karczmach, których gospodarze ochoczo zbójników gościli, chociaż w wielu wypadkach znali profesje swych gości. W karczmie Hwezdaka na Krasnej w dzień Wielkanocy (zapewne w r. 1712) wypili zbójnicy dwa achtele piwa, a karczmarz dobrze wiedział, jakich ludzi podejmuje. Zabawiali się też w karczmie w Tarchowej, płacąc karczmarce za palonkę, piwo i tabak srebrnym puharem.

Wynika stąd, że Janosika ciągnęła do rodzinnej wioski nie tyle tęsknota i skrucha, jak twierdzi obrońca, ile raczej chęć zabawy i użycia wśród swoich, przed którymi chełpił się zbójnickim łupem, rozdając dziewczętom i kobietom zrabowane kosztowności. U Koniucha w Dunajowie także często banda popijała, ale karczmarz nie zdawał sobie sprawy, że są zbójnikami.

Główną kwaterą jednak kompanji zbójnickiej była zagroda Uhorczika na Klenoczy.

Przebiegłość Janosika i jego bandy zdziałała, że zbójnicy drogą przekupstwa przez wręczanie stosownych darów potrafili uzyskać pobłażliwość, co więcej milczące sprzyjanie wśród urzędników komitatowych i miejskich, a nawet wśród oficerów.

Trzon bandy zbójeckiej stanowili towarzysze zbójcy, do których grona można się było dostać przez złożenie na ręce herszta przysięgi na wierność. O przysiędze tej mówią w swoich wyznaniach zarówno Janosik, jak i Uhorczik, przyczym ten ostatni wspomina o niezwykle uroczystej formie przysięgi, polegającej na dziewięciokrotnym składaniu ślubowania.

Przysięga zbójnicka, której złamanie ściągało na zdrajcę srogą zemstę ze strony bandy, oddawała nowicjusza zbójnictwa pod komendę herszta, którego władza zależną była od miru, jaki herszt zdołał sobie wyjednać u towarzyszy.

Zbójnik, związany przysięgą, obowiązany był do przestrzegania bezwzględnej solidarności w stosunku do członków bandy, a przedewszystkiem do zachowania w sprawach bandy ścisłej tajemnicy i niewydania nawet na torturach towarzyszy zbrodni.

Tym też tłumaczyć należy fakt, że

Janosik niechętnie zeznaje o swych i Uhorczika towarzyszach i dopiero po długich indagacjach, zapewne po zagrożeniu torturą, wymienia szereg uczestników przestępstw, nie określając ich zresztą bliżej. Miarą wiarogodności jego wyjaśnień w tej materji może być fakt, że o Uhorcziku podał, iż tenże zginął na krzemienieckich górach, sądząc zapewne, że sąd nie zorjentuje się, iż pojmany razem z nim zbójca Marcin Mrowiec jest właśnie owym poszukiwanym Uhorczikiem ,ukrywającym się pod fałszywymi nazwiskami.

Przykładem solidarności zbójeckiej może być również fakt, że na Janosiku ciążyło podejrzenie, że wespół z kilkoma zbójnikami odbił z miejsca kaźni pewnego towarzysza, który w Żylinie miał być kołem łamany.

Istniały jednak w łonie bandy zatargi i waśnie. Spory musiała budzić w pierwszym rzędzie kwestia podziału łupów. Na podstawie protokółu sądowego nie da się jednak ustalić, na jakich zasadach zdobycz dzielono. Nie ulega jednak wątpliwości, że na tem tle dochodziło pomiędzy zbójnikami do krwawych porachunków; wnioskować o tem można choćby z faktu zabicia przez towarzyszy na Beskidzie członka bandy, niejakiego Morawczyka.

Zbójnicy podkradali sobie wzajemnie łupy, na co kilkakrotnie żali się w toku zeznań Janosik, toteż nie darząc się wzajemnem zaufaniem, kryli w tajemnicy jeden przed drugim swe skarby.

Janosik zdobycz swą ukrywał częściowo w młynarzowej stodole pod Tarchową, częściowo w kryjówce pod jakąś nie oznaczoną bliżej kłodą, a wreszcie, co zeznał na mękach, ukrył je w miejscu opodal drogi z Jabłonki do Klenoczy pod jodłą, stojącą obok buka, na którym wycięty jest w korze znak ręki.

Śledząc działalność bandy, da się ustalić i dalszą taktykę w jej poczynaniach.

Banda nie dokonywała rozbojów w zimie, gdyż z jednej strony ślady pozostawione na śniegu ułatwiałyby pościg, z drugiej zaś strony wobec ściągania na jesień pastuchów z hal, banda traciła schronienie i oparcie w trudno dostępnych bacówkach i szałasach.

Toteż na zimę banda rozpraszała się, członkowie jej chronili się w kryjówkach lub godzili się poprostu do służby za parobków czy drwali, po to tylko, by jakoś przebiedowawszy zimę, wiosną powrócić znów do zbójnickiego rzemiosła.

Banda przy dokonywaniu rozbojów nie występowała nigdy w kompletnym składzie, lecz dzieliła się na poszczególne grupy, które działały każda na własną rękę.

Z Janosikiem chodziło na poszczególne wyprawy conajwyżej kilku towarzyszy, podczas gdy pozostała część rozbijała gdzieindziej, tak że Janosik nie brał w tych rozbojach udziału.

Energiczniejsi członkowie bandy łupili samodzielnie, jak naprzykład Jano Krutnica zwany także Turjakiem, który odłączył się z paru towarzyszami od bandy i chodząc po liptowskich szałasach owce rzezał, na młyn napadł, a nawet komory cesarskie rozbijał.

Banda, względnie jej poszczególne grupy, po dokonaniu rozboju w jednej okolicy przerzucała się szybko w zupełnie inne strony, co w wysokim stopniu utrudniało pościg za rozbójnikami i dezorjentowało hajduków komitatowych.

Wskutek ustawicznego przerzucania się z miejsca na miejsce, banda trapiła dość znaczną połać kraju.

Lista rozbójów Janosika nie jest specjalnie obfita, skoro się zważy, że zbójnictwu oddawał się od września 1711 r. do marca 1713 r. Tu przedewszystkiem wymienić należy napady, w których Janosik brał osobiście udział i do których przynajmniej częściowo się przyznał.

1. Na górach krzemienieckich złapany przez bandę pocztowy powiadomił zbójców, że na pogrzeb pana Petrycego do Turcji ciągnie Jan Radwański. Pocztowemu zabrali tytoń, napadłszy zaś na samego Radwańskiego, zrabowali mu juki.

2. Wdowę po cesarskim oficerze

Schardonie obrabował Janosik między Ważcem a Wychodną przy Garajowym potoku, zabrał jej cały wieziony dobytek, z którego dwa stroiki na głowę wziął ze sobą, a resztę zdobyczy schował w kryjówce pod kłodą, skąd podkradł mu je następnie przygodny Wołoch, obecny przy napadzie.

3. Na Żarach w Turczy urządził zasadzkę na pana Pawła Revai. Z broni tam zabranej Janosik zatrzymał dla siebie srebrną szablę, którą mu ukradł potem towarzysz idący do Polski. Uhorczik i Chlastjak zabrali z łupu każdy po flincie. Flintę Chlastjaka darowano następnie wolarzom na Kisuczach.

4. Przy przeprawie przez Wag poniżej Sokoła napadli zbójcy na żonę parocha ze św. Jana. Zabrali jej rozmaite rzeczy; czy pieniądze również, — tego Janosik nie umie powiedzieć, w każdym razie mantylka napadniętej dostała się Szutkom.

5. Banda obrabowała Ottlika Sandora.

6. W Malatyńskiej dolinie banda urządziła napad na pana Wacława Zmeskala.

7. Pani Kaforce wzięli zbójnicy jeden cesarski talar, do czego Janosik się przyznał, natomiast zaprzeczył, by zrabowali 200 złotych.

8. Pod Strecznem dokonano napadu na plebana z Orawy z beneficjum Wagu. Łupem podzielili się zbójnicy w ten sposób, że Janosik zostawił sobie kapelusz, który sprzedał Uhorczikowi, a ten ze swej strony zagarnął dla siebie mantylkę duchownego.

9. Dwukrotnie zorganizował Janosik wraz z Uhorczikiem napad na kupca Jana Sziposa, mieszczanina z Żyliny.

Po raz pierwszy w dniu 5 października 1711 r., a więc zaledwie w tydzień po przystaniu do bandy, zabrał Janosik z Uhorczikiem i Huncagą sukno, które sprzedali Marcinowi, krajczemu z Jabłonkowa. Z tej zdobyczy dostało się Janosikowi i dwu jego towarzyszom po 70 zł. Część przypadających na Janosika pieniędzy wziął jako pożyczkę Uhorczik, który się właśnie wówczas żenił i z pożyczonej sumy nic Janosikowi nie zwrócił.

Drugi napad na tegoż Sziposa miał miejsce 10 maja 1712 r. i wówczas to w ręce zbójników wpadł pas i cztery złote. Rzeczy te zagubili, gdy bandę rozpraszano w Tarchowej.

(Ciąg dalszy — w następnym numerze.)

Z życia Podhalan w Warszawie

Od czasu walnego zebrania, t. j. od czerwca br., prace Ogniska Związku Podhalan posuwają się naprzód, pod energicznym kierownictwem prezesa dr. Kawczaka. Dotychczas odbyło się 5 zebrań zarządu i jedno nadzwyczajne walne zebranie, na którym m. i. prof. dr. W. Goetel mówił o zadaniach Związku Ziem Górskich.

Ognisko w Warszawie przez swych delegatów brało udział w Zjeździe Podhalan w Czarnym Dunajcu, w uroczystości 10-lecia Ogniska w Radziechowach oraz w otwarciu muzeum im. Orkana w Rabce. Nadto kilku członków Ogniska uczestniczyło w pracach komitetu wykonawczego zjazdu górskiego w Sanoku. Ognisko warszawskie żywo współpracowało przy założeniu Ogniska w Kamesznicy i przy jego pomocy organizują się dalsze Ogniska w Milówce, Rajczy, Zwardoniu oraz w Kamienicy koło Łącka. Wreszcie prezes Ogniska brał udział w zjeździe turystycznym w Krynicy, gdzie

przedstawił szereg potrzeb w zakresie turystyki.

Żywo interesuje się Ognisko sprawą bezrobotnej inteligencji podhalańskiej oraz przychodzi z pomocą podhalańskiej młodzieży akademickiej w Warszawie. Z funduszów, jakimi Ognisko rozporządza, przekazano w tym czasie 10 zł. na sztandar Ogniska w Rabce, 100 zł. na stroje dla członków Ogniska w Radziechowach, 50 zł. tytułem wkładki do Zarządu Głównego oraz 50 zł. na Dom Podhalański w Kościelisku.

Na dzień 15 listopada Ognisko przygotowuje „Wspominki po śp. gen. Dobrodzickim", w których niewątpliwie wezmą gremialny udział przede wszystkim członkowie Ogniska.

KRONIKA

LISTOPADOWY NUMER „ZIEMI PODHALAŃSKIEJ" poświęcamy w dość znacznej części pamięci zmarłych, wybitnych postaci z Podhala. Zamieszczamy więc artykuły o zmarłej w październiku Matce Orkana, o Andrzeju Stopce, którego zwłoki przewiezione będą z końcem listopada do Zakopanego, oraz wspomnienie o Bartku Obrochcie, którego 10-lecie zgonu przypadało w tym roku na wiosnę.

POGRZEB ŚP. KATARZYNY SMRECZYŃSKIEJ. W pierwszych dniach października odbył się w Zakopanem pogrzeb śp. Katarzyny Smreczyńskiej, matki Władysława Orkana. W pogrzebie wzięli m. i. udział: prezes Zarządu Głównego Związku Podhalan Feliks Gwiżdż, prezes Towarzystwa „Związek Górali" w Zakopanem W. Krzeptowski, długoletni przyjaciel Orkana dr. Józef Diehl, artysta-rzeźbiarz Stan. Sobczak i inni.

NA DOM PODHALAŃSKI W KOŚCIELISKU. Zamiast wieńca na trumnę śp. Katarzyny Smreczyńskiej, Zarząd Główny Związku Podhalan postanowił przeznaczyć 20 zł. na budowę Domu Podhalańskiego w Kościelisku. Na ten sam cel Ognisko Związku Podhalan w Warszawie przeznaczyło sumę 50 zł., to jest: 25 zł. zamiast wieńca na trumnę śp. K. Smreczyńskiej oraz 25 zł. zamiast wieńca na grób śp. gen. Jerzego Dobrodzickiego.

MIN. BECK OBYWATELEM HONOROWYM LIMANOWEJ. Minister spraw zagranicznych, Józef Beck, przyjął dnia 19 października delegację Limanowej w osobach dr. Stan. Małety oraz burmistrza Tomasza Biedy, która to delegacja wręczyła mu dyplom obywatela honorowego Limanowej.

W ROCZNICĘ ZGONU GEN. DOBRODZICKIEGO. Dnia 15 listopada br., jako w pierwszą rocznicę zgonu śp. gen. Jerzego Dobrodzickiego, Ognisko Związku Podhalan w Warszawie urządza w Kasynie garnizonowym akademię dla uczczenia Jego pamięci.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wojciecha Górskiego 6.

Prenumerata roczna wynosi 3 zł., półroczna 1 zł. 50 gr., kwartalna 75 gr. Egzemplarz pojedyńczy 25 gr. Konto P. K. O. 18883. Prenumerata na Amerykę: roczna 1 dolar, półroczna 50 centów, kwartalna 25 centów.

Cena ogłoszeń za tekstem: cała strona 100 zł., pół strony 50 zł., ¼ strony 25 zł., 1/8 str. 13 zł. Artykuły reklamowe (w tekście) cała strona 150 zł., pół str. 75 zł., ¼ strony 40 zł.

Redaktor i wydawca: FELIKS GWIŻDŻ.

„Drukarnia Lekarska", Sp. z o. o., Warszawa, Leszno 56, tel. 11.98-73,